

Zabierze mnie pan ze sobą? — zapytał Baśka.

— Naturalnie, jeśli masz ochotę — odparłem.

— Może okaże się, że ten Pókijaniec zamiast drugiej połówki talizmanu zechce nam odstąpić stary rower lub zepsutą maszynę do szycia? Proszę pana oczywiście weźmie, prawda?

Na dworze odezwał się klakson samochodowy. Jeden, a potem drugi. To pan Smith i Skwarek niecierpliwili się oczekiwaniem na pannę Helenkę. Jakaś smutną minę zrobił Skwarek, gdy przekonał się, że obydwie panny Dohnalowe kierują się do mego wehikulu, a nie do jego fiata.

Biedak musiał zadowolić się towarzystwem pana Dohnala, który zajął miejsce w samochodzie. Do porscha ostrożnie wsiadł dyrektor Marczak.

Za oknami samochodu była noc — widna, księżycowa. Do tyłu leciały czarne zarysy drzew przydrożnych, obok nas jawiły się i znikwały światła okien w pobliskich zagrodach.

W Uhercach skręciliśmy na szosę do Myczkowców i do Bóbrki. Zaczęliśmy się zbliżać do brzegów jeziora.

Chałupa Pókijanca, stojąca tuż nad brzegiem jeziora, była obiektem przeznaczonym do rozbiórki, na tym terenie miał wkrótce stanąć rząd domków campingowych. Gdyby ją pozostawiono, specjaliści bardzo tę okolicę. Była to już bowiem rudera. Przez przedziewiały blaszany dach ciekła do wnętrza woda deszczowa, jeden szczyt chałupy pochylił się ku ziemi i lada silniejsza wichura mogła ją przewrócić.

Otoczał chałupę drewniany płot, a raczej jego nędzne resztki, które właściwie niczego już nie ogradały. Na zasłanym starą słomą podwórzu stał tylko furgon na ogumionych kołach z wymalowanymi napisami: „Skup pierza, makulatury, szmat i złomu”. Wewnątrz chałupy, w jedynej izbie, do której jeszcze nie ciekła woda z dachu — paliła się goła brudna żarówka o żółtawym, nikłym świetle.

W izbie, na czarnej od brudu podłodze, stał równie czarny od brudu stół i obok kulawy podłuzny zydeł, jedyny sprzęt do siedzenia. Na zydłu przykucał potężny chłop w waciaku. Miał rzadkie rude włosy, szczecinę na policzkach, dużą brodawkę na nosie. Gdy stanęliśmy na progu, krajał właśnie wielki bochen chleba. Na stole leżało pięto kiełbasy i stał kubek z herbatą.

— Poznał mnie pan? — powitał go Skwarek. — To ja spotkałem pana dziś na szosie i pytałem o starą blaszkę z cyframi i napisami. Mówił mi pan, że chyba ma pan coś takiego i ci państwo przyjechali ze mną, żeby tę rzecz obejrzeć i kupić.

Pókijaniec popatrzył na nas z ciekawością. Potem kilkakrotnie pociągnął nosem, jakby miał katar, wytarł usta rękawem waciaka i odezwał się grubym głosem:

— Gadał mi pan coś, pamiętam, ale żebym wiedział co, to nie powiem.

— Pytałem pana, czy ma pan może taką małą blaszkę — powtórzył lekko poirytowany Skwarek.

— Blaszek mam dużo. Kupuję przecież starą blachę i złom — odparł i znowu kilkakrotnie pociągnął nosem.

Panna Dohnalowa westchnęła ciężko. Nadzieja, że odnajdziemy drugą połówkę talizmanu, znowu zaczynała się oddalać.

— Chodzi nam o małą blaszkę z cyframi i napisami — tłumaczył Pókijanca magister Skwarek.

Smith wyjął z kieszeni swój falsyfikat talizmanu i położył na brudnym stole, obok bochenka chleba i pięto kiełbasy.

— O, właśnie, takiej blaszki szukamy — wyjaśnił chłopu.

Pókijaniec brudnymi paluchami wziął do ręki falszywą połówkę talizmanu, obejrzał ją, co chwila pociągając nosem, jakby wietrzył jakiś miły zapach.

— Ma pan u siebie coś podobnego? — dopytywał się Skwarek. Pókijaniec położył blaszkę na stole.

— Może się coś znajdzie — rzekł. — Poszukać by trzeba.

— No, to niech pan poszuka.

— Teraz? Dzisiaj?

— Teraz. Dzisiaj — niecierpliwili się Skwarek. — Przecież panu już mówiłem, że ten pan wskazał Smitha — chce dać za taką blaszkę pięć tysięcy złotych. W tej sprawie wywiesił nawet ogłoszenie w Lesku.

Pókijaniec spojrzął na Smitha z ogromnym zainteresowaniem. Znowu pociągnął nosem, podniósł się z zydła i poszedł do sąsiadującej z izbą komory. Przyniósł z niej ciężką skrzynkę bez wieka. Postawił ją na podłodze pod światłem żarówki i zaczął w niej grzebać.

Och, czego w tej skrzyni nie było. Stare klucze rozmaitej wielkości, pordzewiałe kłódki, stare zamki, kątowniki, śruby, nakrętki, różnego rodzaju żelastwo o nie znanym mi przeznaczeniu. Pokrzywione gwoździe, płaskowniki, fajerki, małe kłębki miedzianego drutu, oprawki do żarówek, połamane śrubokręty, staroświeckie skoble...

Chłop grzebał w tych rupieciach i grzebał, a nas ogarniało coraz większe rozczarowanie. Nie wydawało nam się prawdopodobne, aby w tym stosie pordzewiałych kluczy i skobli krył się bezcenny talizman Katza.

Pókijaniec pociągał bez przerwy nosem, a my śledziliśmy w milczeniu ruchy jego rąk. Raptem wyprostował się. W brudnych paluchach coś trzymał.

— Czy o to wam chodziło? — zapytał i podał coś Skwarkowi.

Tak, to był talizman. Druga połówka talizmanu. Skwarek rzucił na nią okiem i przekazał pannie Helenie.

— Boże święty, to chyba to... — szepnęła uszczęśliwiona.

Patrzyłem przez jej ramię na przedmiot, który trzymała w ręku. Była to mała blaszka, pod względem wielkości identyczna z tą, która znajdowała się w muzeum na Złotej Uliczce. Miała cyfry po jednej stronie, a po drugiej jawił się jakiś niewyraźny rysunek. Na pierwszy rzut oka, w odróżnieniu od falsyfikatu, który miał Smith, blaszka wyglądała na starą. Tu i ówdzie widać było poszczerbione brzegi, była wygięta, niemal przelamana na pół. W jej środku widniała niewielka dziurka, jakby ktoś zawieszał ją sobie na szyi, na tasemce.

— Niech pan obejrzy, panie Tomaszu — panna Helenka wyciągnęła do mnie rękę z talizmanem.

Lecz Pókijaniec złapał ją za rękę. Wyjął z jej palców talizman i położył go na stole.

— Pięć tysięcy — powiedział ponuro. — Pięć tysięcy i bierzcie tę blaszkę. Nie dam się oszukać. Ten pan — powołał się na Skwarkę — mówił o pięciu tysiącach.

— Nie będziemy kupować kota w worku — odezwał się. — Musimy najpierw blaszkę obejrzeć.

— To nie kino ani telewizor, nie ma co oglądać — burknął Pókijaniec. — A czy ja wiem, może wam chodzi o to, żeby ją tylko obejrzeć. Najpierw proszę klasnąć na stół pięć tysięcy, potem możecie sobie oglądać, ile wam się podoba.

Smith sięgnął do portfela. Ale go wstrzymałem.

— Nie. Tak nie można — oświadczyłem. — Muszę najpierw zobaczyć, czy to rzeczywiście druga połówka talizmanu.

Wyciągnąłem rękę w kierunku stołu, gdy raptem zgasło światło w izbie. Zrobiło się tak ciemno, że nie widziałem ani Pókijanca, ani panny Helenki, ani nikogo.

— Coś takiego! — zawołała panna Helenka.

Usłyszałem chrapliwy głos Pókijanca.

— Znowu światło wyłączyli. Często tak robią. Tu gdzieś mam świecę.

Trwało dłuższą chwilę, zanim znalazł świecę. Błysnęła zapalka, zapalił się płomyk.

I raptem zabłysło światło żarówki.

— No, włączali — stwierdził Pókijaniec i zdmuchnął świecę.

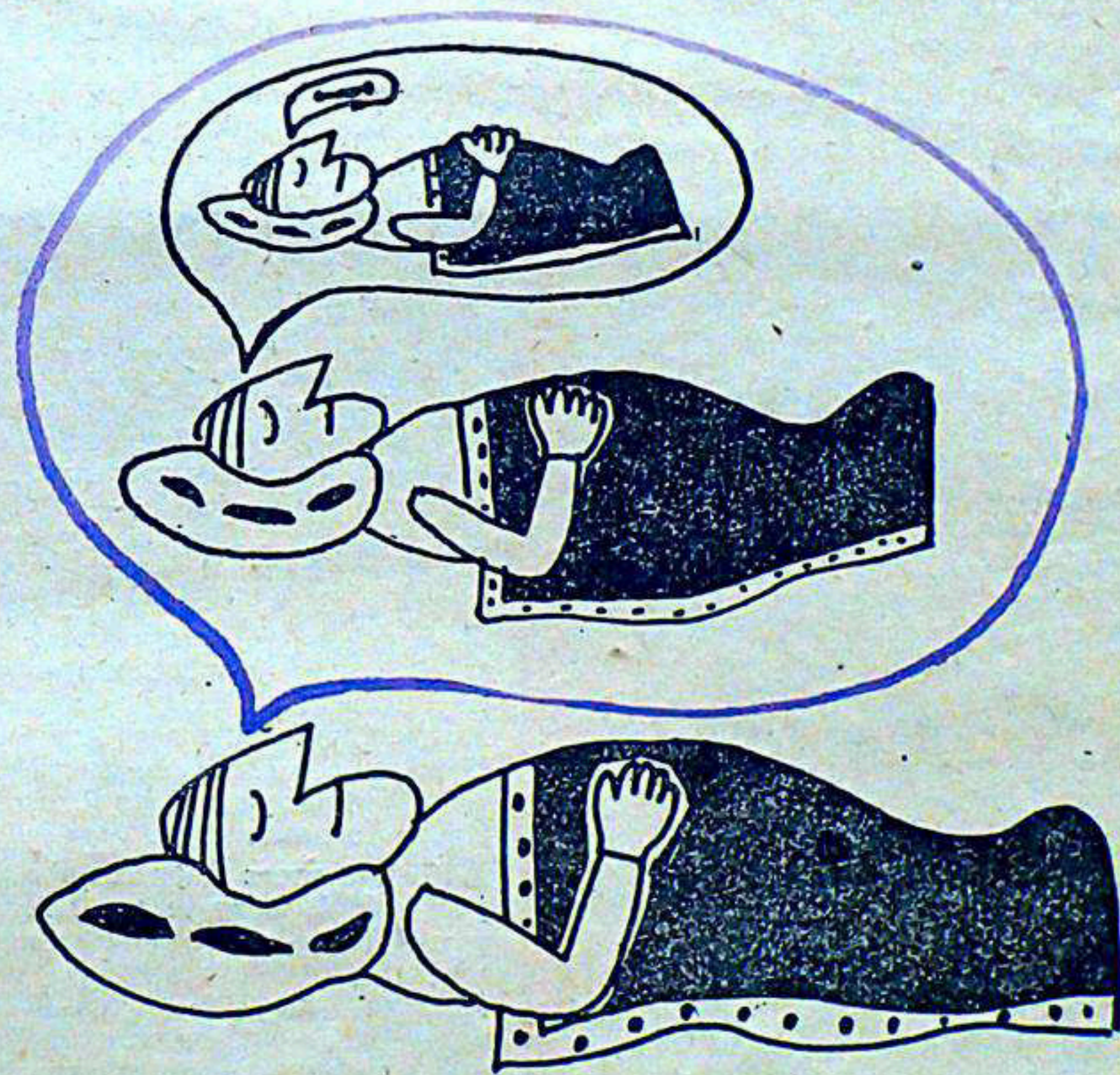
— Boże święty! — krzyknęła raptem panna Helenka.

Pókijaniec także wrzasnął:

— Gdzie moja blaszka? Ukradliście ją?

Na stole nie było drugiej połówki talizmanu. Leżał tylko bochenek chleba, pięto kiełbasy, kubek z herbatą i falsyfikat, który położył pan Smith.

C.d.n.



JULIUSZ GOSTKOWSKI

SEN BEZ KOŃCA

Nie obudzi się już nigdy jeden pan — ach, co za skandal! Wpadł na zawsze w sen przedziwny i śpi już od bardzo dawna! A śni mu się, że on śpi i o sobie właśnie śni. A śni mu się... itd...

Rys. H. Chmielewski